GŁOS NARODU

KOBIETY BANDYTKI.

Nietylko serca wydzierają nam kobiety, ale i mienie, oddając się rabunkowi na lądzie i na morzu nieraz z większem od mężczyzn okrucieństwem. Z korsarek, czyli rozbójniczek morskich najbardziej wsławiły się Marja Read i Anna Bonny, Angielki. Pierwsza w dzieciństwie przez rodziców ubieraną była po męsku, ponieważ dziadek nie cierpiał płci żeńskiej. Następnie Marja Read wstąpiła do służby za lokaja do jednej zamożnej pani, była majtkiem na okręcie wojennym, potem kadetem w pułku piechoty, wreszcie w kawalerji, gdzie zakochała się w jednym z kolegów, Flamandczyku, i wyszła za niego za mąż. Młode małżeństwo założyło garkuchnię, ale mąż wkrótce umarł, a Marja została znów żołnierzem i z oddziałem popłynęła do Indji. W drodze napadnięta przez piratów, dostała się do niewoli i w końcu przeszła na korsarkę. Na okręcie piratów znajdowała się żona dowódcy, Anna Bonny. Ponieważ mąż źle się z nią obchodził, usluchała podszeptów Marji Read, uknuła spisek przeciwko swemu tyranowi i kazała go zamordować. Naczelne dowództwo nad okrętem i piratami objęły obie kobiety i prowadziły je tak zręcznie i umiejętnie, że przez długie lata były postrachem handlowej floty, aż wreszcie w końcu 17-go wieku w krwawej walce z innymi korsarzami zginęły.

W sto lat potem niejaka Izabela Wiliams, kobieta wysoko wykształcona i elegancka, znalazła się przed trybunałem w Londynie, oskarżona o uprawianie rozboju i przemytnictwa na rzece Tamizie na czele bandy uzbrojonych ludzi. Tu przyznała się przed policją, że zacięte walki staczała i zawsze zwycięzko z nich wychodziła. Ta Izabela, która zaledwie dwadzieścia parę lat wieku liczyła, była herkulesowej budowy, olbrzymem-kobietą. Pomimo to adwokat jej opierał swą obronę, powołując się na słabość kobiecą, aby uzyskać łagodniejszy wyrok. Istotnie skazaną została na rok więzienia.

Natomiast Anna Mustard, która z rozgoryczenia, że nikt nie chciał pojąć jej za małżonkę (dla jej nieznośnego, gwałtownego usposobienia) zebrała szajkę bandytów i przy jej pomocy naprzód porwała swego ukochanego — dostała się na dziesięć lat do więzienia. Odtąd — ostatni wypadek wydarzył się w 1815 r. — nie było nic słychać o kobietach bandytkach w Anglji.

Główną bandytką w Ameryce była niejaka Ellen Scott. Osiedlona w Nowym Meksyku, po śmierci męża, dla wychowania dzieci, stanęła na czele własnych niegdyś „Cow boyów“ (pastuchów), z którymi nie tylko, że prowadziła koniokradztwo na szeroką skalę, ale i rabunek po drogach, przytem jednak srogo zabronionem było przez nią morderstwo. Przez cztery lata Ellen Scott w mężkim stroju uprawiała to niebezpieczne rzemiosło, aż wreszcie w 1892 r. wraz ze swą szajką stanęła przed sądem przysięgłych. Tu we wzruszającej mowie przedstawiła swoje dzieje, tłomacząc się, że tylko miłość macierzyńska pchnęła ją na drogę występku i dzięki swej ujmującej powierzchowności i płynnej przekonywującej wymowie, zyskała niesłychane na amerykańskie stosunki powodzenie. Uniewinniono ją zupełnie, a publika i lud ujęty jej gorącemi słowy, uczcił ją jak prawdziwą bohaterkę i urządził na jej korzyść składkę, która doszła do tak pokaźnej sumy, że Ellen Scott nie potrzebowała się już uciekać do dawnego rzemiosła i spokojnie, bez trosk o byt materyalny, poświęciła się w zupełności dzieciom.

Podczas gdy Ellen Scott nie splamiła swych niewieścich rąk ani jednem zabójstwem, aresztowana przed kilku laty w Bo-

stonie Tilly Woods sądzoną była za trzy morderstwa i przyznała się sama, że dokonała sześćdziesięciu trzech napadów zbrojnych, bądź to sama, bądź przy udziale mężczyzn. Większa część tych zuchwałych napadów była przez nią samą uplanowaną i pod jej kierunkiem wykonaną. A jednak kobieta owa była jasnowłosą, o łagodnem spojrzeniu, panną niezwykłej urody, liczącą zaledwie lat dwadzieścia trzy, gdy ją smutny ten koniec doścignął.

Helena Fortslund, Amerykanka, pochodząca z rodziców Norwegczyków pierwszą swą zbrodnię popełniła, mając lat szesnaście i zachęcona powodzeniem stała się wkrótce postrachem stanu Montana. Ludność wielu miejscowości nie śmiała o zmierzchu wychodzić ze swych mieszkań, ale i w biały dzień napadała na równych drogach. Raz nawet doszło do prawdziwej bitwy między bandą Fortslundówny i policją, która utraciła kilku ludzi. Po tym wypadku użyto wszelkich sposobów dla obezwładnienia rozbójniczki i wkrótce też udało się ją schwytać. W toku śledztwa okazało się, że mając lat szesnaście została przez niejakiego Clarka uwiedziona, który ją następnie zmusił do prowadzenia z nim razem tego okropnego rzemiosła, które z początku wstrętem ją przejmowało, a z którem z czasem się oswoiła. Potem gdy się przekonała, jak to łatwo z bronią w ręku od najsilniejszego mężczyzny odebrać jego mienie, zaczęła na własną działać rękę. Rozbójniczka prowadziła w porządku księgę, w której zapisywała swe dochody i w pozycjach tych znajdowały się bardzo poważne sumy. Ze względu na jej młodość, wydano na nią stosunkowo łagodny wyrok, gdy tymczasem uwodziciela jej, Clarka, skazano na dożywotnie więzienie.

Najsłynniejszą z podobnych bandytek była hajduczka serbska, Mila, która przez lat dziesięć w panicznym trzymała strachu całą północną część Serbii. Dziwnem to jest, że ta Mila w wiosce swej uchodziła za skromną i spokojną dziewczynę, dopokąd z miłości ku bandycie Petrowiczowi nie przyłączyła się do jego szajki. Z początku, będąc tylko w podrzędny sposób czynną, stała się wkrótce dowódcą bandy i w zuchwałości swej oraz odwadze nie miała rywalów. Gdy w której wsi lub osadzie rozchodziła się pogłoska, że Mila z oddanymi jej bezgranicznie hajdukami znajduje się w pobliżu, cała ludność truchlała ze strachu. Śpieszono do kościoła lub modlono się w domu i ostrzono broń do oczekiwanej walki ze strasznymi rozbójnikami; długo tak się działo. Pierwsze zabójstwo popełniła nad granicą rumuńską w początkach osiemdziesiątych lat na osobie niejakiego Stankowicza. Odtąd przez całe sześć miesięcy słyszano ciągle o nowych krwawych zbrodniach. A jednak ta kobieta namiętnie oddana była miłości i wreszcie padła jej ofiarą. Mila oddała swe serce, jak już wiadomo, hajdukowi Petrowiczowi, została jego żoną i przysięgła nigdy go nie opuszczać. Przed sądem w Pozarewaczu wypowiedziała na swą obronę mowę, trwającą półtorej godziny i ani okiem nie drgnęła, gdy jej odczytano wyrok śmierci.

WIELKI TYDZIEŃ W LEGENDACH.

Istny rwetes powstaje w chatach wiejskich w Wielkim Tygodniu; kto żyw — bierze udział w porządkach i przygotowaniach przedświątecznych, boć to ino dwa razy do roku takie święta: zimą Gody, z wiosną Wielkanoc.

Niczem dziś jednak robota gospodarska w porównaniu z wielką pracą, jaką w swoich chatach za wsią mają czarownice przez wszystkie dni i noce Wielkiego Tygodnia. Trzeba bowiem wiedzieć, że raz w rok, kiedy u nas właśnie Wielkanoc, czarownica miewa pod swym dachem gościa nad goście! Sam djabeł we własnej osobie odwiedza ją w te święta, a wiedźma podejmuje go po królewsku.

Żeby wszakże zgotować mu przystojne przyjęcie, tyle ma zachodu, iż chyba wyrzekłby się kto inny takiego zaszczytu, by uniknąć trudów ogromnych, z tem połączonych; gdy tymczasem czarownica pewnikiem zgodziłaby się choćby przez miesiąc po dwa razy na dzień wodę nosić aż z samego piekła na swoje podwórko — byle tylko kum kusy nie omieszkał odwiedzić chaty wonczas, gdy we wsi śpiewają wszyscy przy święconem: „Wesoły nam dziś dzień nastał...“

Mało komu wiadomo, co też taka wiedźma prawdziwa, djabłu duszą i ciałem zaprzedana, ma do roboty przed ową wizytą upragnioną. Oto rzecz najważniejsza, iż bies nie jada byle czego, lubo żarłok pono z niego straszny: podobnie jak żyd w naszym domu nie będzie jadł naszego obiadu, tak i djabłowi prawie wszystko nie byłoby „koszerne“, gdyby miał zasiąść za stołem pierwszego lepszego gospodarza. Wie o tem najlepiej czarownica i taką dla gościa gotuje wprzód ucztę, jakiej mu potrzeba.

Trudno tam zbadać wszelkie tajemnice tej piekielnej kuchni. Jednego wszakże doszli już ludzie. Cokolwiek dla biesa przyrządza czarownica, to gotuje na maśle... Ba, na maśle, ale na jakiem?

Otóż w tem sęk i cała zagadka, dlaczego to właśnie tyle zachodu mają wiedźmy w Wielkim Tygodniu.

Dla zrobienia owego masła djabelskiego potrzeba zgromadzić mnóstwo mleka, aliści w tem

właśnie trud cały. Mleko to będzie pochodziło nietylko od krów — to nietylko własnych krów czarownicy — ale nadto i od kobył, królików, myszy, kotów, nareszcie i od kobiet, karmiących dzieci. Tylko od świń i psów nie ściągnie ona nigdy mleka, a to przez uszanowanie dla djabła, który lubi się niekiedy przemieniać w psa czarnego lub czerwoną świnię.

Wiedźma, gdy jej idzie o mleko, potrafi mieć moc wielką nad krowami i ludzie wiejscy dobrze o tem wiedzą, iż gdy zechce, zdoła ona mleko odebrać krowie, lub je tylko zepsuć, w krew przemienić, lub wodę, albo wreszcie sprowadzić na dojne bydło chorobę lub śmierć nawet... Gdyby tylko czarownica mleka skosztowała, jużby krowa je straciła zupełnie. Niechno taka zła wiedźma wykręci się na pięcie przed progiem stajni, a potem krowa przejdzie przez ten dołek, już ją tak zaczarowała, iż od dziś dnia krwią się będzie doiła... To samo będzie, gdy ją okadzi sawiną. Ale tak już ona robi, że jej czary na złe wychodzą ino właścicielom bydła, jej zaś przeciwnie, na korzyść.

Odebrawszy mleko cudzym krowom, wiedźma oddaje je swoim. Wprawdzie ma i bez tego sposób sprowadzenia mleczności u krów własnych przez zawiercenie do ich rogów jakichś ziół tajemniczych. Woli ona jednak szkodzić innym. Więc nieraz w tym celu swoją krowę okadzi przestępem i puści ją z drugiemi krowami w pole do stada gromadzkiego: a wtedy wszystko mleko ściągnie krowa jej do siebie. Albo bierze starą bronę z kołkami drewnianymi, stawia przy swej oborze, od wschodu siada przy niej, jak przy krowie, a powiedziawszy sobie, iż który z kołków jest wymieniem krowy sąsiada, doi z niego mleko do skopka.

Przez cały Wielki Tydzień krząta się czarownica po wsi — gdzie nie może za dnia, tam się nocą zakrada — i na gwałt mleko odbiera wszelakiemu bydłu, a po drodze zbiera zioła i węgle, których pasterze napalili na pastwisku; tylko takiego bowiem paliwa użyć ona może do gotowania świątecznej uczty dla djabła.

Chodziła ona wprzód do niego nocą na nowiu miesiączka pod krzak rokitowy — pytać o wszystko, co i jak ma robić i dostała od niego przedziwne sposoby prędkiego pomnożenia dobytku i nabiału ze szkodą dla innych. Za dwa doręczone tam djabłu jajka od kury z plebanii, otrzymała od kusego, djabelski serek, który sama jeść ma codzień naczczo i dać z niego część krowom swoim w chwili, gdy je okadza przestępem, skutkiem czego z dziewięciu chat z sąsiedztwa przyjdzie do niej mleko i od bydła i kobiet karmiących — a na tem właśnie zależy wiedźmom niemało...

Wszystko to jednak wystarczyłoby czarownicy w innej porze. Nie dość jej zaś tak podebranego mleka w Wielkim Tygodniu, gdy oczekuje na święta gościa w kusym fraczku.

Więc innych jeszcze sposobów używa. Mianowicie codzień o świtaniu wychodzi ze skopcem i powązką na łąki, bez względu na to, czy jest już duża trawa, czy nikła jeszcze. Powązką swoją szasta ona długo po mokrej trawie, zbierając w ten sposób rosę i z powązki wykręca ją do skopca, mówiąc przytem bezustannie: „Biorę pożytek, ale nie wszystek“. Przyniesioną do domu rosą myje wiedźma krowom swoim wymiona, co pomaga do większej ich mleczności.

Powiadają, że pewien parobek, konie pasący na łąkach, podpatrzył i podsłuchał czarownicę i z żartu, idąc za nią, szastał uzdami po trawie, mówiąc: „A ja niestatek, biorę ostatek“. Gdy wrócił do chałupy i na kołku uzdy zawiesił, dostrzegł po chwili, że z tej uzdeczki najwyraźniej mleko kapało. W taki sposób sam odebrał resztę mleka krowom, które pasały się na onej łące i wszystko bydło w domu pozdychało, ponieważ czarownica, domyśliwszy się, że ją parobek podpatrzył, z zemsty czary swoje pozakopywała w miejsca, którędy bydło on przeprowadzał.

Co noc w tym czasie chodzi czarownica nago około wrót, drzwi, odźwierza, ustrugując z nich po trzasce, ktore wrzuca w skopiec, aby jeszcze przymnożyć sobie mleka na masło djabelskie na święta. Nadto o świtaniu, upatrując żeby tego nikt nie widział — idzie wiedźma do stawu, myje wszystko naczynie i bierze konewkę wody do domu; to myje krowom wymiona, odmawiając przytem swoje formuły, a następnie kadzi bydło przestępem: wtedy doić będzie obficie nawet roczne jałowice, wcale jeszcze nie pobierane.

Z tem wszystkiem musi uporać się na czas. Czeka ją bowiem jeszcze daleka wyprawa, Według jednych, nocą z Wielkiej środy na czwartek, według zaś innych — dopiero w następną noc po Wielkim czwartku, wyjeżdża czarownica na miotle przez komin swojej chaty w daleką podróż, z której wszakże powraca już nad rannem pianiem kurów we wsi.

Jest to jedno z dorocznych spotkań wszystkich wiedźm na Łysej Górze. A im większy smutek wonczas po kościołach naszych, tem większa tam uciecha w ich zgromadzeniu.

Jak gdyby chciały się przedrzeźniać rzewnej pieśni „Wisi na krzyżu“, z naszych siół płynącej po niwach, pobudzonych wiosną — czarownice opętane wyją wściekle, tańcząc na Łysej Górze piekielnego oberka na swych miotłach...

Spada wtedy z nieba święty Jerzy między wiedźmy, djabłom zaprzedane — i dzidą ogromną rozpędza szatańskie wesele, nie chcąc dopuścić do obrazy Boskiej. Boją go się wielce czarownice, wystrzegając się pilnie, by której z nich nie dotknął w głowę końcem swej dzidy, gdyż na nicby się jej nie przydały wszelkie przygotowania, z trudem czynione w Wielkim Tygodniu, djabeł bowiem nie zaszedłby już do jej chaty na świąteczną ucztę.

Kaz. Kalinowski.

DWÓR HABSBURGÓW.

ŻYCIE DWORSKIE.

Jeżeli dynastja pozostała najważniejszym żywiołem monarchji austrjacko-węgierskiej, to z biegiem czau dwór przestał być politycznym czynnikiem. Monarcha ma pierwsze i ostatnie słowo w sprawach publicznych, choć nie często go używa; dwór zaś nie wywiera wcale na nie wpływu. Jest on raczej symbolem niż rzeczywistością, i można powiedzieć, że więcej czuć się daje jego brak, niż jego obecność. Są jeszcze wspaniałe ramy etykiety hiszpańskiej i w ważnych okolicznościach, jej obrazowy przepych i poważny majestat. Obudziły one podziw, uczucie uszanowania i tęsknoty za dawnemi czasy u arystokratycznych gości, mianowicie francuzów, niedawno temu, podczas uroczystości ślubu ks. Orleańskiego z arcyksiężną Dorotą. Dworskiego życia towarzyskiego niema. Zgon cesarzowej Elżbiety nic pod tym względem nie zmienił; jak wiadomo, urocza ta pani rzadko przebywała w dwóch stolicach monarchji: była nieśmiałą, przy niepospolitych zaletach umysłu przenosiła swobodę, poufne towarzystwo i podróże nad życie dworskie, konie — nad ludzi. Jak nie było za jej czasów, tak niema i teraz na dworze salonu, rozmowy, zabaw. Są przyjęcia, bale i obiady. Są dwa rodzaje balów: dworski „Hof Ball“ i bal u dworu, „Ball beim Hof“; pierwszy bardzo liczny, bo dopuszczani są na niego niemal wszyscy mający mundur, funkcjonarjusze od pewnej rangi, wojskowi, ciało dyplomatyczne, Węgrzy w strojach narodowych, wreszcie członkowie parlamentu; drugi jest przeznaczony dla dworu i mających prawo bywania na dworze, dla tak zwanych „Hoffähige“, a więc niemal wyłącznie dla arystokracji, co czyni z niego dla wielu kamień wewnętrznej urazy. Tak na pierwszym jak na drugim balu, dwór, z cesarzem na czele, ukazuje się o godzinie 9.



ALBAŃCZYK MUZUŁMANIN.

Brak teraz wrażenia niezwykłego, jakie sprawiało wejście monarchy z cesarzową Elżbietą, lśniącą pięknością, uosabiającą prawdziwy majestat, połączony z kobiecym wdziękiem. Obecnie cesarz podaje ramię arcyksiężnie Marji-Józefie, żonie arcyksięcia Ottona, z domu Saskiego. Rozpoczynają się tańce; tak zwane „comtessy“ walcują i polkują z „kawalerami“; starsi się im przypatrują; na balach „dworskich“ zastawione są wspaniałe bufety, podczas balów „u dworu“ podaje się kolacja z historyczną zupą z czasów Karola V.; po kolacji dwór się oddala i o godz. 12 wszystko skończone, komnaty starożytnego zamku pogrążają się w ciemności.

Zwykle bywa każdego rodzaju tych balów po parze podczas zapustu. Obiady są liczniejsze: rodzinne, monarsze, dla koronowanych gości, dyplomatyczne, parlamentarne. Tak na balach, jak i obiadach bywa zwykle „cercle“ i cesarz rozmawia z wielu obecnymi, zwłaszcza z dyplomatami; korzysta też czasem ze sposobności, aby łagodnem lub nawet surowem napomnieniem wpłynąć na bieg spraw parlamentarnych, niestety, najczęściej bezowocnie.

Wszystko, co się tyczy dworu i dworskich przyjęć, jest z góry postanowione i urządzone przez niezmienną i nieubłaganą etykietę. Mianowicie co do prawa bywania na dworze zasady są niewzruszone. Cesarz jeden może uczynić wyjątek i od zasad odstąpić; rzadko bardzo czyni to i dlatego „możność bywania na dworze“ odgrywa jeszcze znaczną rolę w stosunkach austryackich, a niejeden wielki pan tutejszy cofa się przed ame-

rykańskiem małżeństwem lub innym mezaljansem z obawy, że żona nie będzie „hoffähig“. Duch czasu łatwiej zmienia urządzenia, niż słabostki ludzkie. Najgłośniejszym wyjątkiem w naszych czasach, zrobionym przez cesarza, było nadanie „prawa bywania na dworze“ baronowi Albertowi Rothschildowi i jego żonie, zbyt wcześnie zgasłej, ślicznej Betinie. Stało się to na życzenie ówczesnego prezesa gabinetu węgierskiego, Tiszy, który musiał pozyskać barona Rothschilda dla niezbędnego, dla państwa węgierskiego, pieniężnego układu. Wyjątek ten więc, na widok którego pobladły czy też zarumieniły się ściany „Burgu“, miał źródło polityczno-finansowe i był dowodem — w rzeczy niezawodnie dotkliwej — przewagi węgierskiej.

Polowanie zajmuje znaczne miejsce w życiu dworu austrjacko-węgierskiego. Cesarz jest, w całem tego słowa znaczeniu, nie tylko celnym strzelcem, ale prawdziwym myśliwym, w czem różni się od młodego pokolenia arcyksiążąt. Poluje jeszcze z niezwykłą czerstwością i wytrwałością; posiada przepyszne knieje tak w Austrji, w Styrji, w Tyrolu, jak na Węgrzech, mianowicie w Gödölö. Do zeszłego roku zwykłym towarzyszem myśliwskim był mu król saski. Obecnie są nimi wnuki, adjutanci, niektórzy dygnitarze dworscy. Są doskonałe polowania dworskie w okolicy Wiednia, w których bez udziału cesarza polują arcyksiążęta, dygnitarze i dyplomaci.

Audjencje są tradycjonalne na dworze Habsburgów, oparte na zasadzie, że każdy poddany ma przystęp do monarchy, aby mu przedłożyć swe żale i potrzeby. Cesarz Franciszek Józef jest niezmużony w udzielaniu posłuchań i budujący cierpliwością oraz dobrocią, z jakiemi spełnia ten nieraz ciężki, zawsze nużący obowiązek. Są dwa rodzaje audjencyj: jedna prywatna, o którą trzeba prosić, druga ogólna, na którą dosyć zapisać się; ta odbywa się zwykle dwa razy na tydzień: w poniedziałki i czwartki.

Dygnitarzy dworskich stanowiska, napozór błyszczące, przez wielu pożądane, są bez znaczenia i niezbyt korzystne. Ich czynności ograniczają się do służby dworskiej, która często nie daje im sposobności być czynnymi. Pierwszym dworskim dygnitarzem jest wielki ochmistrz, który ma istotnie wiele zajęcia i najwyższe w etykiecie stanowisko, to jest krok przed wszystkimi po rodzinie panującej. Wielkim ochmistrzem jest książę Lichtenstein, nie żonaty, mający wykwintne obejście, wiele uprzejmości, wolny od małostek i wszelkiego „snobizmu“. Temu parę lat dodano mu jako marszałka dworu, ks. Montenuovo, brata margrabiny Zygmuntowej Wielopolskiej. Ks. Lichtenstein zachował przytem urząd wielkiego koniuszego, będąc niepospolitym znawcą w rzeczach zaprzęgów, stajni i koni.

Wielkim szambelanem jest sędziwy hr. Traun, pierwowzór dawnego, dobrego wychowania: ma on w swej pieczy muzea dworskie, jak w. ochmistrz ma teatry; znawca i lubownik przedmiotów sztuki, zwłaszcza starożytności, zasłużył się urządzeniem dwóch wystaw „kongresu wiedeńskiego“, oraz w r. z. bardzo zajmującej i cennej w świątyni Tezeusza w Volksgartenie wystawy



MĘŻCZYZNA Z PLEMIENIA MIREDYTÓW.

wykopalisk austrjackich z Efezu. Wielkim marszałkiem dla zadowolenia Węgrów jest hr. Cziraky, dawniej szef sekcji w ministerstwie spraw zagranicznych. Są to tak zwane wielkie dygnitarstwa. Idą potem dworskie urzędy, z których wielkie mistrzowstwo dworu zajmuje obecnie hr. Chołoniewski, dawny w. ochmistrz arcyksiężny Stefanji. Wreszcie minister spraw zewnętrznych hr. Gołuchowski, jako jednocześnie minister domu cesarskiego, znaczne zajmuje na dworze stanowisko z wrodzonym mu taktem i wytwornem obejściem, mając przy boku odznaczającą się niezwykłemi zaletami, wdziękiem i rozumem małżonkę, z domu ks. Murat, która niedawno przebyła szczęśliwie ciężką chorobę i poważną operację. Minister domu cesarskiego przewodniczy wszelkim sprawom dotyczącym rodziny panującej.

Z dworu tego, nad którym czuwa zacność monarchy, nie przedziera się ani czuć się daje na zewnątrz żadna intryga, żaden wpływ, zły czy dobry, na sprawę publiczną. To świat dla siebie, w sobie zamknięty, w którym żywioł kobiecy nie gra prawie żadnej roli, gdyż przez pietyzm, czy też zapomnienie, pozostała tylko w. ochmistrzyni nieboszczki cesarzowej hrabina Harrach, która raz na rok 1 stycznia, przyjmuje życzenia, a i ten zwyczaj ma podobno być zaniechany. Zatem i wewnątrz tego świata mało jest żywiołów do intrygi i zabiegów. Przyjętem tu jest, iż przewagę w nim ma rodzina książąt Kinskych dlatego, że księżna jest siostrą w. ochmistrza; ks. Montenuovo ożeniony jest z córką ks. Kinskyego, a syn księcia jest koniuszym. Stwarza to pewne współzawodnictwo z innemi rodami i lekkie niezadowolenie z monopolu.

Dwór składa się ze wszystkich arcyksiążąt i arcyksiężen. mających także swoje odrębne dwory, o których w dalszym ciągu będzie wzmianka. Nie mówiąc już o „ewig Weibliche“, którego obecnie na dworze Habsburgów brak zupełny, nie czuć wogóle na nim wpływu kobiety tak pod względem towarzyskim, jak umysłowym i artystycznym, i jest to jego dotkliwie ujemną stroną.

Przyboczna gwardja cesarza jest niezmiernie malownicza, dodaje wiele sumptu wszelkim uroczystościom dworskim i składa się: z łuczników, z gwardji węgierskiej, z drabantów, z piechoty i konnego szwadronu gwardji. Dygnitarze i wielcy panowie są dowódcami tych oddziałów.

Cesarz jest zarazem królem węgierskim, a jak w niczem, tak i w rzeczach dworskich Węgrzy nie zasypiają sprawy i, że tak powiem, nie popuszczają. Te dygnitarstwa dworskie, mające siedziby w Wiedniu, nie bardzo im są do smaku. A więc znowu dla ich zadowolenia powstaje zwolna dwór budapeszteński, a przed paru laty stworzony został urząd wielkiego marszałka na dworze węgierskim, który powierzono hr. L. Apponyi. Jednocześnie dawny zamek w Budzie został przebudowany i odnowiony wspaniale. Kilka razy w rok cesarz przenosi się z dworem do Budapesztu i tam odbywają się bale i obiady dworskie; na każdy bal szlachcic węgierski ma prawo przybyć w stroju narodowym. Węgrzy bardzo dbają o te królewskie pobyty i tłumnie spieszą na przyjęcia dworskie. Kiedy monarcha ma powody niezadowolenia ze swoich ukochanych Węgrów, karze ich odroczeniem lub zaniechaniem pobytu w Budzie. Stało się to teraz z powodu wichrzenia przeciw „Got erhalte“ i ustawie wojskowej; ale że jednocześnie cesarz zasłabł, natychmiast dzienniki węgierskie skorzystały z tego i ogłosiły, że król nie wskutek niezadowolenia, ale reumatyzmu, zaniechał przybycia do Węgier. To się zwie mieć zmysł polityczny i istotnie nie brak go Węgrom, a stępia go tylko czasem niesłychany szowinizm.

Pomimo zmienionych okoliczności, pomimo, iż znaczenie dumnego, starożytnego, hiszpańską etykietą otoczonego dworu Habsburgów zmalało w XX stuleciu; pomimo, że życie na nim tak jest urządzone, iż niema tam miejsca nietylko dla zabawy, ale nawet dla nudów — zachowal on przecież jeszcze wiele uroku, a to dlatego, że jest dworem dynastji, która nie przestała być syntezą monarchji, i która budzi jedyne wspólne uczucie patrjotyczne w tej monarchji.

CONON DOYLE.

TAJEMNICA BASKERVILLE'ÓW

Dziwne przygody Sherlocka Holmes.

Przekład z angielskiego

EUGENII ŻMIJEWSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

Zbliżam się do końca tej dziwnej opowieści; starałem się przelać w czytelników obawy, które trapiły nas tak długo i skończyły się tak tragicznie.

Nazajutrz po opisanych wypadkach, mgła ustąpiła i pod przewodnictwem pani Stapleton zdołaliśmy dotrzeć do punktu, skąd ścieżka prowadziła na moczary.

Nieszczęśliwa kobieta ze skwapliwością, świadczącą o głębokiej urazie do tego człowieka, który jej życie zmarnował i podeptał jej godność niewieścią, starała się nas wprowadzić na trop jego.

Od owego punktu, rząd wetkniętych w błoto gałęzi wskazywał kępki ziemi, po których można było przejść suchą nogą. Jeden krok fałszywy mógł nas o śmierć przyprawić. Raz tylko jeden ujrzeliśmy ślad, że ktoś przechodził tą niebezpieczną drogą. Wśród zielska i trawy wyzierał jakiś czarny przedmiot.

Holmes schylił się, aby go podnieść, przyczem poślizgnęła mu się noga; gdybyśmy go nie podtrzymali, byłby wpadł w to błoto bezdenne. Podniósł się, trzymając w ręku stary but. Wewnątrz na podeszwie, była wypisana firma *Meyers*, *Toronto*.

— Warto było wziąć błotną kąpiel! — wołał. — Jest to zaginiony but sir Henryka.

— Stapleton rzucił go tu zapewne wśród ucieczki.

— Niewątpliwie. Trzymając ten but, wprowadzał psa na trop sir Henryka... Odgłos wystrzału zwiastował Stapletonowi, że zasadzka chybiona. Łotr uciekał z tym butem w ręku. Tu właśnie go rzucił. A zatem do tego miejsca doszedł bezpiecznie.

Mieliśmy się dowiedzieć jeszcze innych szczegółów, choć wiele rzeczy pozostało niewyjaśnionych. Niepodobna było znaleźć śladów na bagnie, albowiem błoto zalewało je odrazu. Minąwszy najgłębsze moczary, szukaliśmy odbicia stóp na twardym już gruncie. Nadaremnie. Jeśli świadectwo ziemi było wiarogodne, Stapleton nie doszedł do wyspy, do której dążył wśród mgły.

Grimpen-Mire pochłonęło nędznika. Jego kości spoczywają zapewne wśród nieprzebytych trzęsawisk...

Natomiast znaleźliśmy dużo śladów po nim na wyspie, gdzie psa ukrywał. W jednym z opuszczonych domków był przykuty do ściany łańcuch; pogryzione kości świadczyły, że pies był tutaj więziony. Opodal leżał szkielet małego pinczerka.

— Patrzcie toż to faworyt Mortimera! — zawołał — Holmes. — Stapleton potrafił ukryć psa, ale nie zdołał stłumić jego wycia. Mógł był wprawdzie trzymać go w oficynie Merripit-House, ale byłoby to ryzykownem. Zdecydował się na taki krok ostatniego dnia, gdy wszystko postawił na jedną kartę. Maść w tej oto blaszance jest zapewne mieszaniną siarki i fosforu, którą pies był wysmarowany. Tym sposobem, korzystając z legendy, ów łotr wystraszył na śmierć sir Karola. Nic dziwnego, że Seldon uciekał z wrzaskiem. Wszak nasz przyjaciel, sir Henryk, a i my także nie mogliśmy się wstrzymać od okrzyku wobec takiego zjawiska. Był to pomysł piekielny! — chodziło nietylko o wystraszenie ofiary, lecz i o utrudnienie śledztwa, albowiem pies, ziejący ogniem, przejmował włościan okolicznych strachem przesądnym i obejmował im ochotę ścigania tego potwora. Mówiłem ci to już raz w Londynie, Watson, a teraz powtarzam, że Stapleton był najniebezpieczniejszym łotrem, z jakim zdarzyło mi się spotkać w życiu.

XV.

Rzut oka w stecz.

W końcu listopada, Holmes i ja, w wieczór ciemny i dżdżysty, siedzieliśmy przy kominku w naszej bawialni na Baker-Street. Mój przyjaciel był w wybornym humorze i skorzystałem z tego, aby go wybadać o nieznane mi dotychczas szczegóły sprawy Baskerville.

Sir Henryk i doktor Mortimer bawili w Londynie, gotując się do dalekiej podróży, która miała wzmocnić nerwy baroneta.

— Cała ta sprawa była jasną i prostą z punktu widzenia rzekomego Stapletona — mówił Holmes, w odpowiedzi na moje pytanie. — Dla nas zaś, którzyśmy nie znali jego pobudek i celów, wydawała się tajemniczą i zawiłą. Znajdziesz moje poglądy pod literą *B* w moich aktach kryminalnych.

— Wolałbym, żebyś mi to opowiedział żywem słowem.

— Dobrze, ale nie ręczę za dokładność. Pamięć może mnie mylić. Otóż moje badania wykryły, że portret rodzinny nas nie zawiódł. Ten łotr był synem Rogera Baskerville, młodszego brata sir Karola; wywędrował do Ameryki z bardzo złą reputacją. Ożenił się tam z Beryl Garcia, z najpiękniejszą kobietą w Costa-Rica, a sprzeniewierzywszy znaczną sumę z publicznych funduszów, zmienił nazwisko na Vandeleur, uciekł do Anglii i założył szkołę dla chłopców w Yorkshire. Do obrania tego zawodu skłoniła go znajomość, zawarta w drodze powrotnej z nauczycielem suchotnikiem, niejakim Fraser. Weszli w spółkę. Dopóki Fraser żył, szkoła szła dobrze i prowadzona była z poczuciem obywatelskich obowiązków, ale po jego śmierci zyskała jaknajgorszą opinję, aż wreszcie okryła się hańbą. Vandeleur uznał za stosowne zmienić nazwisko. Jako Stapleton, z resztkami ukradzionych pieniędzy, z pięknymi zbiorami entomologicznymi przesiedlił się do Anglii południowej.

Muzeum brytańskie objaśniło mnie, że był powagą na polu owadoznawstwa; odkrył dużo gatunków, które noszą nazwisko Vandeleur.

Ten nikczemnik zbadał zapewne swoje stosunki rodzinne i dowiedział się, że jedno tylko życie ludzkie stoi pomiędzy nim a olbrzymią fortuną. Przypuszczam, że w chwili osiedlenia się w Devonshire nie miał jeszcze wytkniętego jasno planu; lecz że od początku żywił złe zamiary, świadczy o tem fakt, że żonę swą podawał jako siostrę. Widocznie miał już wtedy projekt użycia jej za narzędzie, choć nie wiedział jeszcze, jakiemi drogami dojdzie do celu.

Przedewszystkiem postarał się osiąść jaknajbliżej siedziby swych przodków, powtóre — nawiązać przyjazny stosunek z sir Karolem Baskerville, oraz z jego sąsiadami.

Baronet opowiedział mu sam o psie, prześladującym ich ród, i zgotował tem sobie śmierć okropną. Stapleton — gdyż tak go będę nazywał w dalszym ciągu — wiedział, że sir Karol ma wadę serca i że gwałtowne wstrząśnienie może go zabić; wiedział, też, że jest przesądnym i że wierzy w tę legendę.

Nikczemnik poznał odrazu, jaką może stąd korzyść osiągnąć; obmyślił dla baroneta śmierć niezawodną, za którą nikt nie mógł być pociągnięty do odpowiedzialności.

Przeprowadził swój plan bardzo zręcznie. Zwyczajny łotr byłby użył psa rozjuszonego — on nadał mu jeszcze pozory piekielnej bestji. Kupił najdziksze i największe psisko, jakie mógł dostać u handlarzy Ross and Mangles w Londynie. Przywiózł go do stacji North Devon, odległej od Baskerville-Hall i nadłożył ogromny kawał drogi, idąc łąką i moczarami, aby go nikt nie spostrzegł. Wpierw wynalazł dla niego schronienie w Grimpen-Mire i tam go odrazu wprowadził. Trzymał

go na łańcuchu i czekał sposobności. Ale niełatwo było ją znaleźć.

Stary baronet nie wychodził nigdy za obręb pałacu po zachodzie słońca. Kilkakrotnie Stapleton czychał na niego z psem, lecz bezskutecznie. Wtedyto okoliczni włościanie widzieli ogromne psisko, co spowodowało wskrzeszenie legendy.

Stapleton miał nadzieję, że jego żona zdoła doprowadzić sir Karola do zguby, lecz natrafił na niespodziewany opór. Nie chciała rozkochiwać starego gentlemana; ani groźby, ani nawet kije nie zdołały jej skłonić do tak niecnego wspólnictwa. Stapleton musiał działać sam.

Pomogła mu dobroczynność sir Karola. Zacny starzec, zwiedziony pozorami, polubił Stapletona i za jego pośrednictwem świadczył dużo dobrego, między innymi pani Laurze Lyons. Stapleton poznał ją przypadkowo, zainteresował się niby jej losem i wzbudził dla niej współczucie w litościwem sercu baroneta; że zaś potrafił zyskiwać względy kobiet i przedstawił się jako kawaler, wkrótce zdobył nietylko zaufanie, lecz i serce pięknej Laury; dawał jej też do zrozumienia, że się z nią ożeni, jeśli ona rozwiedzie się z mężem.

Usłyszawszy, że sir Karol, z porady doktora Mortimer, zamierza opuścić Baskerville-Hall, postanowił działać bezzwłocznie, w obawie, aby ofiara nie wysunęła się z jego szponów. Skłonił zatem panią Lyons do napisania listu, w którym błagała baroneta o przybycie do furtki ogrodowej w przeddzień jego wyjazdu do Londynu. Następnie odradził jej stawić się na miejscu umówionem.

Wracając wieczorem z Coombe-Tracey, spuścił psa z łańcucha, posmarował go fosforem i przy-przyprowadził do furtki, wiedząc, że stary gentleman zjawi się przy niej od strony pałacu.

Pies poszczuty przez swego pana, przeskoczył przez furtkę i ścigał biednego baroneta; ten uciekał aleją wiązów, wołając o pomoc. Pies biegł trawnikiem, baronet aleją żwirową; dlatego pozostały tylko ślady jego kroków.

Widząc, że leży bez ruchu, pies zbliżył się zapewne, obwąchał go, a gdy poczuł, że już nie żyje, zawrócił się. Stapleton przywołał go, odprowadził do improwizowanej budy w Grimpen-Mire i uwiązał znowu na łańcuchu.

Śmierć sir Karola pozostała niewyjaśniona; władze policyjne łamały sobie głowę nad jej przyczyną, okolica była w strachu, wreszcie oddano sprawę w nasze ręce.

Rozumiesz piekielny podstęp tego łotra: tak się urządził, że nie można było znaleźć śladów zbrodni, ani wytoczyć procesu mordercy. Jedyny jego wspólnik zdradzić go nie mógł. Obie kobiety, wplątane w tę sprawę: pani Stapleton i pani Laura Lyons, miały pewne podejrzenia; mrs. Stapleton wiedziała nawet o złych zamiarach męża względem sir Karola, a także o istnieniu psa. Mrs. Lyons nie miała wprawdzie pojęcia ani o jednem, ani o drugiem, lecz zastanowiło ją, że śmierć starego gentlemana wynikła o godzinie, wyznaczonej na spotkanie z nią. Obie kobiety znajdowały się jednak pod wpływem tego łotra, — nie miał powodu obawiać się zdrady z ich strony.

Pierwsza część szatańskiego zadania była spełniona, pozostawała druga, trudniejsza.

Stapleton mógł na razie nie wiedzieć o istnieniu spadkobiercy w Kanadzie. Bądź cobądź, dowiedział się o tem wkrótce po śmierci sir Karola od swego przyjaciela, doktora Mortimer, który go też uwiadomił o przybyciu sir Henryka.

Pierwszą myślą Stapletona było zapewne zgładzić go ze świata w Londynie. Stracił zaufanie do żony od chwili, gdy nie chciała mu pomagać w zastawianiu sideł na sir Karola. Bał się jednak zostawić ją samą na dłuższy czas, dlatego wziął ją ze sobą do Londynu.

Doszedłem, że zamieszkali w hotelu Mexborough, przy Craven Street. Stapleton zamykał żonę na klucz, a sam, przyprawiwszy brodę, dla niepoznaki, śledził każdy krok doktora Mortimer, jeździł za nim na Baker-Street, a następnie na dworzec i do hotelu Northumberland.

Żona domyślała się jego planów, lecz obawiała się ostrzedz upatrzoną ofiarę. Gdyby list wpadł w ręce Stapletona, jej własne życie byłoby w niebezpieczeństwie.

Jak wiemy, wpadła na myśl wycięcia z gazety słów, któremi ostrzegała baroneta. List doszedł rąk baroneta i był pierwszą zapowiedzią niebezpieczeństwa.

Stapleton postarał się o but sir Henryka, aby w razie danym wyzyskać węch psa i wprowadzić go na trop ofiary.

Posługacz hotelowy dostarczył mu obuwia, za hojną pewnie opłatą; lecz pierwszy but wykradziony, był nowy; Stapleton kazał go podrzucić i dostał drugi, noszony. Ten drobny fakt wprowadził mnie odrazu na domysł, że prześladowca sir Henryka chce użyć psa do swych celów.

Nazajutrz baronet przybył tutaj; Stapleton śledził go w dorożce. Sądząc z tego, że mnie znał i wiedział, gdzie mieszkam, gotów jestem przypuścić, że już poprzednio miał powody obawiać się mojej działalności wywiadowczej i że nie był nowicjuszem na polu zbrodni.

W ciągu trzech lat ostatnich okradziono w Devonshire cztery dwory. W żadnym wypadku złoczyńcy nie zostali ujęci. Wreszcie w maju roku bieżącego zrabowano Folkstone-Court, przyczem został zabity służący, który pierwszy dostrzegł zamaskowanego złodzieja.

Mógłbym ręczyć, że był nim Stapleton, który w ten sposób zasilał swe fundusze. Mieliśmy dowód jego bezczelności w tem, że podał moje nazwisko dorożkarzowi. Zrozumiał wtedy, iż go śledzę i że nie będzie mógł spełnić swych zamiarów w Londynie. Powrócił do Devonshire i oczekiwał tam przybycia baroneta.

— Przepraszam cię — rzekłem. — Czy mógłbyś mi wyjaśnić, kto żywił psa podczas pobytu Stapletona w Londynie?

(C. d. n.)

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“. Druk W. Korneckiego w Krakowie.